

Jarosław Nikodem: Teologia polityczna husytyzmu. Migawkowe ujęcie problemu

Dopuszczano możliwość użycia przemocy nieusankcjonowanej żadnym prawem ludzkim, wyłącznie odwołując się do Prawa Bożego, czyli prawdy Pisma Świętego. Ono zaś odegra w czasach husyckich najważniejszą rolę, ponieważ postawiono je ponad wszystkim i wszystkimi, uważając, że tylko wyznawcy nauk Mistrza Jana znają, przestrzegają i strzegą tego prawa – pisze Jarosław Nikodem w „Teologii Politycznej co Tydzień”: „Konstancja 1414. Ius gentium i (re)definicja christianitas”.

Temat jest frapujący i – jak często w takich przypadkach bywa – niełatwy do zrealizowania, zwłaszcza w tekście o bardzo ograniczonej objętości. Najkrócej rzecz ujmując, interesuje nas ukazanie husyckiego porządku politycznego widzianego w jego związku z religią. Husytyzmu jako ruchu religijnego (bardzo szybko zresztą także polityczno-społecznego) nie byłoby, co oczywiste, bez Jana Husa, lecz jednocześnie Husa nie byłoby bez Jana Wiklefa. Głoszony przez tego pierwszego i podobnie doń myślących mistrzów Uniwersytetu Praskiego program reform wywodził się w prostej linii z potępionych przez Kościół nauk angielskiego teologa. Wiklef sądził m.in. że każde stworzenie jest Bogiem; podawał w wątpliwość transsubstancjację; papieża, kardynałów, patriarchów, arcybiskupów, biskupów, mnichów i kanoników uważał za uczniów antychrysta; nauczał, że władcy świeccy i dostojnicy kościelni, włącznie z papieżem, gdy popadają w grzech śmiertelny tracą prawo do pełnienia swego urzędu; twierdził, że

wszyscy duchowni powinni się zrzec prawa własności, w przeciwnym razie zostanie im ono odebrane; spowiedzi ustnej nie uznawał za niezbędną; głosił też zasadę predestynacji. Hus wprawdzie nie utożsamiał się ze wszystkimi poglądami mistrza oksfordzkiego, ale jego samego uważał za doktora ewangelicznego. W nauczaniu Husa dostrzec można również wpływy ideologii waldensów (później zwróci na to uwagę Eneaszy Sylwiusz Piccolomini, relacjonując poglądy radykalnych husytów) oraz czeskich reformatorów z drugiej połowy XIV w., przy czym ich wpływ na kształtowanie się idei Husa najpewniej był znacznie mniejszy.

Dążąc do uzdrowienia ówczesnego Kościoła znajdującego się w okresie tzw. wielkiej schizmy zachodniej, Hus nie posługiwał się jednak metodami umiarkowanymi. Korzystając z ochrony dworu królewskiego, nie zastosował się do napomnień arcybiskupa praskiego, a po obłożeniu go karami kościelnymi wprawdzie udał się na prowincję, lecz nie zaprzestał głoszenia kazań (zakazano mu tego już w 1410 r.), wykorzystując do tego każdą sposobność i miejsce (miasta, ulice, drogi miejskie i wiejskie). Jego działalność kaznodziejska, bez wątpienia bardzo wyrazista i przemyślana, przyciągała tłumy, nad którymi potrafił zapanować. Czynił to już wcześniej nie tylko z pomocą płomiennych kazań głoszonych w praskiej Kaplicy Betlejmskiej (ta nie była kościołem parafialnym, więc przybywali do niej wszyscy chętni mieszkańcy stolicy), ale jak wytrawny znawca ludzkich charakterów umieścił w niej ścienne napisy pozwalające wiernym nieustannie przyswajać sobie jego nauki. Te zaś, pomijając treści ściśle związane z wiarą, koncentrowały się przede wszystkim na ukazaniu – a przy okazji ośmieszeniu – złych kapłanów. Mniej czy bardziej radykalnie nastawieni reformistycznie mistrzowie prasy, tocząc uczone dysputy, roztrząsali problemy dotyczące nauki Kościoła i doskonale zdawali sobie sprawę z konsekwencji takiego postępowania. Jednak w

przypadku nieprzygotowanych do snucia takich refleksji ludzi świeckich docierały wyłącznie opinie o chciwych, leniwych, bezwstydnym, gorszącym i nieprzestrzegającym Dekalogu duchownym. Nie trzeba tłumaczyć, że słuchacze bezrefleksyjnie utożsamiali gromionych kapłanów z całym Kościołem, co pozwalało im w Kościele widzieć jedynie zło. A jeśli wiemy, że towarzyszyło temu nawoływanie do odebrania tej instytucji wszelkich dóbr doczesnych, droga przed nadchodzącą rewolucją stała się otworem. Dodać do tego trzeba postulat swobodnego głoszenia Słowa Bożego, czyli inaczej rzecz ujmując indywidualnej interpretacji Pisma Św., który oficjalnie pojawił się w 1420 r., ale zgodny był z opinią Husa ogłoszoną już w 1413 r. Jak widać, poddani Królestwa Czeskiego codziennie otrzymywali porcję przedrewolucyjnej propagandy. Z kolei rosnący jak grzyby po deszczu wędrowni kaznodzieje stali się czeskimi odpowiednikami lollardów rozprzestrzeniających w Anglii nauki Wiklefa. Jednocześnie uwidaczniał się kolejny związek wyznawców husytyzmu z waldensami, którzy uważali, że każdy, kto poznał prawdę wiary, powinien ją głosić innym.

Hus, występując przeciw instytucjonalnemu Kościołowi, nie uderzał we władzę królewską, a zatem w głowie nie powstała mu myśl, żeby zmieniać polityczne oblicze państwa. Sytuacja zaczęła się komplikować po jego śmierci. W głoszonych z coraz większą intensywnością kazaniach pojawiały się opinie o prawie do przeciwstawiania się tyranom z mieczem w ręku. Nie miało znaczenia, o jakich konkretnych czy wymaganych tyranów miało chodzić. Najważniejsze było to, że dopuszczano możliwość użycia przemocy nieusankcjonowanej żadnym prawem ludzkim, wyłącznie odwołując się do Prawa Bożego, czyli prawdy Pisma Św. Ono zaś odegra w czasach husyckich najważniejszą rolę, ponieważ postawiono je ponad wszystkim i wszystkimi, uważając, że tylko wyznawcy nauk Mistrza Jana znają,

przestrzegają i strzegą tego prawa. Nawołujący do przemocy najbardziej radykalni kaznodzieje – miało to kolosalne znaczenie – nie podlegali żadnej kontroli, a próby zapanowania nad tym podejmowane przez mistrzów praskich spaliły na panewce.

Wyraźne odejście od politycznej powściągliwości Husa miało miejsce po defenestracji praskiej, zwłaszcza zaś po śmierci nieudolnego Wacława IV (1419), o której można by rzec żartobliwie, trawestując Karola Zbyszewskiego – nikt nie mógł się nadziwić, że Pan Bóg jest spragniony jego towarzystwa. Pozbawiając Zygmunta Luksemburskiego dziedzicznych praw do następstwa po nim, ponieważ nie godził się zaprzysiąc czterech artykułów praskich, husyci pozostawali nieugięci w swym postanowieniu. Przy czym trzeba pamiętać, że prążanie, czyli husyci umiarkowani, w głębi duszy nigdy Luksemburczyka nie odrzucili, skrycie licząc, że będą mogli się z nim porozumieć. Gdy w drugiej połowie lat dwudziestych stało się jasne, że król to samo ma na myśli, chodziło już tylko o to, kiedy do tego dojdzie. Pomiędzy tymi okresami każdemu następnemu kandydatowi, któremu husyci proponowali tron (Władysław Jagiełło, Witold), stawiali ten sam warunek, w dodatku w formie niepodlegającej negocjacji. Gdy w Pradze zjawił się Zygmunt Korybutowicz (wcześniej przyjął Komunię *sub utraque specie*) jako Witoldowy namiestnik, wprowadził oficjalnie wszystkie czeskie siły polityczne jego władzę zaaprobowaną, ale w praktyce wyglądało to nieco inaczej. Czechy husyckie stały się konglomeratem różnorodnych organizmów. Poszczególne miasta, dawniej królewskie, zdobyły znaczną autonomię, stając się małymi republikami. Praga (stojąca na czele tzw. Związku Praskiego) po początkowym odgrywaniu roli wiodącej w całym państwie, w pewnym momencie tę rolę utraciła. Radykalne bractwa charakteryzujące się przede wszystkim siłą oręża nie uznawały nad sobą żadnego

zwierzchnictwa i miały apetyt na przejęcie władzy w Czechach. Przy czym wszystko wskazuje na to, że Jan Žižka w ogóle nie miał zamiaru podporządkowania się jakiegokolwiek zwierzchności.

Ruch husycki od samego początku był podzielony, a różnice zdań w wielu kwestiach sięgały bardzo daleko. Fenomenem stało się to, że wbrew podziałom, niechęci (czasem nawet więcej niż tylko niechęci), aż do bitwy pod Lipanami nie uległ rozbiciu. Inna rzecz, że to, co wszystkie odłamy łączyło, było tak silne, że całkowity rozłam wydawał się niemożliwy. Były to zresztą rzeczy bardzo różne. Zaczniemy od tego, że w pierwszym rzędzie przekonały ich poglądy głoszone przez Husa, także dlatego, że dało się je wykorzystać w praktyce. Chodzi, rzecz oczywista, o sekularyzację dóbr kościelnych. Popierano ją, marząc, że może się ziścić, a gdy doszła do skutku, panowie czescy i część szlachty te dobra skonsumowali i nie zamierzali ich nigdy zwracać, co im się, jak to nieraz w życiu bywa w podobnych wypadkach, udało. Z kolei mieszczanie przejmowali dobra tych, których albo z miast (głównie Pragi) wygnano, albo sami w wyniku tego, co się działo, uciekli. Wzbogaceni w ten sposób także nie zamierzali niczego zwracać.

Kolejnym czynnikiem, który husyckich Czechów połączył, była urażona duma narodowa. Dotknęło ich uznanie Husa za heretyka i jego spalenie na stosie, zwłaszcza że żyli w przeświadczeniu o swym najdoskonalszym w świecie katolicyzmie. Słali do Stolicy Apostolskiej listy protestacyjne i nie odżegnywali się na razie od nowo wybranego papieża Marcina V, lecz jednocześnie twierdzili, że nie odstąpią od obrony Prawa Bożego. Niedwuznacznie oznaczało to, że ani papież, ani sobór nie są dla nich autorytetami w wierze. Tę rolę przejęli mistrzowie uniwersyteccy, co też nie trwało zbyt długo. Potem połączyły ich także wyłączenie ze wspólnoty Kościoła i krucjaty, które przeciw nim

prowadzono. Bez współdziałania militarnego husyci nie mogliby liczyć na sukces przeciw wojskom krucjatowym. Rewolucyjność rewolucyjnością, ale są jej granice. Granicą rewolucyjności dla wszystkich husytów (najbardziej radykalnych z nich nie wyłączając) było utrzymanie dotychczasowego podziału stanowego. Najbiedniejszych można było wykorzystywać, ale nie można się było z nimi zrównać.

Najważniejszą rzecz wymieniam jako ostatnią, żeby ją jeszcze bardziej podkreślić. Od niej nie mogło być i nie było odwrotu. Kielich, czyli przyjmowanie Komunii pod obiema postaciami przez laików, stał się symbolem rewolucji. Komunię tę zaczął rozdawać w Pradze jeszcze za życia Husa Jakoubek ze Střibra. Hus zalecał powściągliwość, ale się temu nie sprzeciwiał. Jakimi motywami kierował się Jakoubek, nie ma powodu wnikać, natomiast nie może budzić wątpliwości fakt „atrakcyjności” (celowo używam tego wyzywającego określenia, żeby podkreślić wagę zagadnienia) tej nowinki dla wszystkich wiernych bez względu na ich stanowe usytuowanie. Przyjmowanie Komunii *podoboji* miało oznaczać, że świeccy nie stoją niżej w hierarchii, że zyskują ten sam przywilej, jaki dotychczas był udziałem wyłącznie kapłanów, że nie tylko stają się im równi, lecz w związku z ich nagannym zachowaniem zdecydowanie ich przewyższają. Nie może więc dziwić, jaką od samego początku popularność zdobyła ta forma na prowincji. Szczególnie zaś, obojętnie, czy w miastach, czy poza nimi, wśród ludu. Udzielanie Komunii *sub utraque* na początku nie miało żadnego związku z Husem, ponieważ nie został on jeszcze osądzony przez sobór, a zatem – innego wyjaśnienia przecież być nie może – kierowano to przeciw Kościołowi. Nie przeciw stanowi duchownemu, lecz wprost przeciw instytucjonalnemu Kościołowi. Wielki Josef Pekař twierdził wręcz – a intuicja badawcza w dobrym tego słowa znaczeniu rzadko mu nie dopisywała – że to Uniwersytet Praski odpowiadał za sformułowanie

czterech artykułów praskich, czyniąc to w taki sposób, żeby nie dopuścić do porozumienia z Rzymem. Co ciekawe, żaden z nich nie dotyczył poglądów Husa potępionych w Konstancji. Zdaniem Pekařa, jeszcze podczas pertraktacji toczonych po bitwie pod Vitkovem w 1420 r. przez mistrzów praskich i przedstawicieli Kościoła o cztery artykuły, wydawało się, że porozumienie jest możliwe nawet w przypadku Komunii pod obiema postaciami. Na propozycję, żeby zgoda dotyczyła jej przyjmowania przez laików, którzy będą się tego domagali z pobożności (jak to potem ustalono podczas soboru w Bazylei), mistrzowie prascy odpowiedzieli, że przyjmowanie *sub utraque* jest niezbędne dla osiągnięcia zbawienia. W tym wszystkim najbardziej istotne jest to, że zarówno Hus jak husyci uparcie twierdzili, że ważne jest tylko to, co zapisano w Piśmie Św. Nie trzeba tłumaczyć, że o Komunii pod dwiema postaciami jako koniecznej do zbawienia dla laików w Biblii nie wspomniano.

Można się zastanawiać, czy mocno eksploatowane elementy adwentystyczne i chiliastyczne były wykorzystywane wyłącznie z powodu naiwnych intencji religijnych, czy inspiracja sięgała głębiej i mogła mieć podłoże polityczne? Mam na myśli sławne marsze na góry, naprawdę zaś na wzgórze (*poutě na hory*), które od pewnego momentu tak bardzo oddziaływały na prostych na ogół ludzi biorących w nich udział. Do tego stopnia, że nierzadko dotyczyły całych rodzin. Ta druga ewentualność nie jest niemożliwa, ponieważ z jednego z przekazów dowiadujemy się, że uczestników namawiano do udziału w tych pochodach po uprzednim uzbrojeniu się. Oznaczałoby to, że nie tylko defenestracja praska nie była ruchem spontanicznym, o czym wiemy już z całą pewnością, ale wiele działań wcześniejszych także. Wszystko to zaś oznacza, że po latach nie mylił się kardynał de Retz, gdy pisał: „Kto gromadzi lud, ten go burzy!”. W tym przypadku byłoby to burzenie inspirowane na nowo zinterpretowaną wiarą chrześcijańską. Czy

zdawano sobie z tego sprawę? Jakoubek ze Stříbra ostrzegał, że takie manifestacje mogą skończyć się okrucieństwami dokonywanymi z myślą o pożądaniu cudzego mienia, a chwilę później wiedział, że tak się działo. A jednocześnie, paradoksalnie (nie jedyny to paradoks tamtych czasów) nie przeszkadzały mu późniejsze bestialskie niszczenia kościołów i klasztorów, bo wybudowano je bez wyraźnego Boskiego rozkazu (dodajmy, że waldensi także charakteryzowali się nieufnością do kościołów budowanych ludzkimi rękoma). Posuwał się jeszcze dalej, gdy twierdził, że księża, którzy nie wyrzekną się grzechu, mogą zostać pozbawieni życia. A przecież Jakoubek nie należał do grona najbardziej radykalnych postaci tamtych czasów. Tak się bowiem złożyło, że husyci, w różnym stopniu, ale niemal wszyscy, piętnujący niesprawiedliwość i okrucieństwo Kościoła, praktykowali zasadę, że każdego, kto nie zechce przyjąć głoszonego przez nich Prawa Bożego, można lub trzeba zabić. Zarówno katolików jak wywodzących się z ich grona pikartów. Przy czym okrucieństwo Žižki było charakterystyczne, ale okraszone rygoryzmem moralnym.

W myśl nowych zasad łamano stare. Kapłani katoliccy nie mogli przelewać krwi, duchowni husycy to czynili. Wojna sprawiedliwa w doktrynie średniowiecznej zabraniała toczyć wojny dla zysku lub z zemsty, dla husytów zemsta stała się czymś naturalnym, a w okresie, gdy Czechy weszły w kryzys gospodarczy spowodowany długoletnią wojną, nie wahali się prowadzić akcji zbrojnych dla uzyskania zysku. Wszystkie te i podobne czyny usprawiedliwiała oczywistość: obrona Prawa Bożego. Łamano też własne zasady. Zarówno Jan Želivský, jak wcześnie taboryci, po latach zaś także Petr Chelčický (żeby na tych przykładach poprzestać), przekonywali, że duchowni nie mogą mieszać się do polityki. Cóż z tego, skoro Želivský stał się dyktatorem w Pradze, do tego stopnia uciążliwym dla wszystkich, że w końcu pozbawiono go życia, a wśród bractw radykalnych duchowni odgrywali nie tylko rolę

polityczne, nierzadko eksponowane, lecz także wojskowe. Skoro o tym mowa, jeszcze jeden paradoks. Uśmiercenie Želivskiego przez jego znacznie mniej radykalnych przeciwników politycznych, było tryumfem krótkotrwałym, po którym natychmiast nastąpiła reakcja zwolenników charyzmatycznego kaznodziei zakończona kaźnią jego zabójców. To, co się wówczas wydarzyło, najlepiej pokazuje efekty kilkuletnich działań nakierowanych na porywanie i zjednywanie tłumów.

prof. Jarosław Nikodem

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
